

To trzeba mieć pecha, żeby, uciekając przed Ruskimi, wylądować o kilometr od nich. To przydarzyło się mojej repatriowanej zza Bugu rodzinie, której przyszło zamieszkać na Ziemiach Odzyskanych „pod bratnimi skrzydłami” jednego z radzieckich pułków lotniczych.

Pułk ten został utworzony do walk na dalekim wschodzie, a po upadku Japonii przeniesiono go do Polski. Tu miał bronić naszego nieba przed zakusami zachodnich imperialistów. Nie wiem, jak z tą obroną było, ale moja mama twierdziła, że przelatujące nad naszym domem samoloty straszyły kury, które się gorzej niosły.

Pas startowy lotniska był dobrze widoczny z okienka w dachu naszego domu, a linia słupów ze światłami podejścia przebiegała tuż za naszą stodołą. Światła te były sprawdzane przez żołnierzy z lotniska, którzy przy okazji przychodzili do nas pohandlować, czyli zrobić „machniom”. Nie byłem wtajemniczony w szczegóły tych transakcji, ale wiem, że mój pierwszokomunijny zegarek pochodził z machniom. Był piękny. Na tarczy miał namalowaną kulę ziemską, którą obiegał umieszczony na sekundniku satelita. Do tego jeszcze cyfry, wskazówki i rzeczony satelita świeciły w ciemności. Mój pierwszy pasek do spodni też pochodził z machniom. Zarówno zegarek, jak i pasek służyły mi przez wiele lat. Machniom było powszechnym procederem w okolicy i w wielu domach były zegary, narzędzia lub kanistry ruskiego pochodzenia.

Ruscy byli wszędzie, bo liczebność załogi lotniska była porównywalna z liczbą mieszkańców naszego miasteczka. Ulicami jeździły zielone samochody z czerwoną gwiazdą na drzwiach, żołdaci pili wódkę w parkowych zaułkach, a w sklepach spotykało się żony oficerów.

Kobiety te były ubrane według aktualnej radzieckiej mody i dziwnie jednakowo - zwłaszcza zimą. Wtedy nosiły ciemne, sukienne płaszcze, mocno uwydatniające kobiece krągłości. Stroju dopełniały futrzane kołnierze i czapki, a wszystko to było obficie oblane odikolonem, czyli perfumami w radzieckim wydaniu. Zapach tych perfum długo jeszcze zostawał w pomieszczeniach, które odwiedzały.

Prości żołnierze też byli strojni, ale w różne bojowe, sportowe lub komsomolskie odznaki. Odznaki te oraz gwiazdki z czapek i pagonów były dla nas małaolatów przedmiotami pożądania. Wypraszałyśmy je od nich, a potem wymienialiśmy się nimi między sobą. Najcenniejsze były gwiazdki z oficerskich czapek galowych: czerwone, na złotym tle, otoczone czymś na kształt skrzydeł czy kłosów. Za jedną taką trzeba było dać z dziesięć żołdackich lub tyleż różnych odznak komsomolskich, czyli kolorowych główek Lenina. Nigdy takiej gwiazdki nie zdobyłem, chociaż towaru na wymianę miałem w bród.

Okoliczni mieszkańcy nie bali się Ruskich, choć jedna stara panna z sąsiedztwa nie wychodziła z domu po zmroku w obawie przed zgwałceniem. Byłem wtedy chłopcem i bardziej interesowały mnie samoloty niż seks, ale nigdy nie słyszałem o gwałtach. Często natomiast słyszałem negatywne komentarze na temat dziewczyn, które „zadawały się z Ruskimi”.

Tutejsze dziewczyny miały szeroki wybór kandydatów do zadawania się, bo poza żołdatami z lotniska, byli też nasi żołnierze z miejscowej jednostki. Czy to o dziewczyny, czy też ze zwykłej polsko-radzieckiej „przyjaźni” pobilo się kiedyś na dworcu kolejowym kilkunastu żołnierzy obu bratnich armii. Okładali się pasami o metalowych klamrach, demolując przy tym bufet i poczekalnię. Nie trwało to

długo, bo zaraz przyjechali polscy żandarmi i wylapali... swoich. Ruscy przyjechali później i nie złapali już nikogo, bo ich „bojcy” zdążyli uciec.

Lotnisko było pilnie strzeżone, ale nie niedostępne. Sporo Polaków na nim pracowało, a nawet ja byłem tam dwa razy.

Pierwszy raz byłem niejako służbowo, by jako członek szkolnego chóru uświetnić pierwszomajową akademię w tamtejszym domu kultury. Zawieziono nas na lotnisko wojskową ciężarówką z budą i po chwili oczekiwania, bocznymi schodami wprowadzono na scenę odgradzoną od widowni prawdziwą kurtyną. Niewidoczna dla nas kobieta zapowiedziała nasz występ i kurtyna poszła w górę. Wtedy zobaczyliśmy dużą, ozdobioną złoceniami salę. Wypełniali ją wojskowi w mundurach obwieszonych orderami oraz kobiety w sukniach ozdobionych futrzanymi boa. Tak wyłożoną salę zobaczyłem po raz drugi dopiero po wielu latach w jednym z krakowskich teatrów, ale takiej strojnej widowni nie widziałem już nigdy. Zaśpiewaliśmy dwie piosenki, dostaliśmy rześiste oklaski i ta sama ciężarówka zaraz odwiozła nas z powrotem.

Drugi raz byłem na lotnisku prywatnie i to w niemiłych okolicznościach. Któregoś popołudnia nagle zobolał mnie brzuch i zacząłem wymiotować. Domowa medycyna nie pomagała, a państwowa pracowała tylko do piętnastej. Do najbliższego telefonu było ze dwa kilometry, zbliżał się wieczór, a ja słabłem.

Mój ojciec, niewiele myśląc, zaprzęgił konie do wozu i zawiózł mnie pod bramę lotniska. Porozmawiał z wartownikiem i już za chwilę nasz napędzany obrokiem pojazd zaparkował przed tamtejszym szpitalem. Wojskowy lekarz zbadał mnie, dał mi coś do wypicia i położył na leżankę. To „coś” zadziałało i ból zelżał. Potem lekarz dał ojcu butelkę z lekarstwem i wytłumaczył, jak mam je zażywać. Ojciec chciał zapłacić, ale lekarz nie przyjął pieniędzy. Poleżałem jeszcze trochę i ruszyliśmy do domu, zostawiając na przyszpitalnym bruku jeszcze ciepłą pamiątkę postoju naszych koni. Ruskie lekarstwo pomogło i prędko wydobrzałem.

Nad naszym domem przelatywały dwupłatowe kukuruźniki, odrzutowe migi i SU, a czasem nawet pojawiał się pasażerski TU-104. Ten ostatni przylatywał kilka razy w roku i stał na lotnisku przez kilka dni. Wtedy otwierałem okienko w dachu i oglądałem tego olbrzyma zajmującego chyba z pół pasa startowego. Po starcie przelatywał tuż nad naszym domem, a biedne kury aż przysiadły ze strachu przed hukiem wypełniającym podwórko.

Hałas wywoływany przez tutejsze samoloty też był duży, ale już przywykliśmy do niego. Nie latały one codziennie, a gdy latały, wtedy lubiłem z dachu patrzeć na lotnisko, bo wiele się tam działo. Raz nawet widziałem odrzutowiec, który wybuchł tuż po wylądowaniu i jak ognista kula toczył się po betonowym pasie.

Nie widziałem natomiast innego samolotu, który spadł na las za naszym domem. Pognały zaraz w tamtą stronę ruskie łażiki w poszukiwaniu pilota i szczątków maszyny. Znalezione podobno wszystko, z wyjątkiem... kół samolotu. Kto je ukradł? Nie wiadomo. Jedni mówili, że to leśniczy, inni, że kowal z pobliskiego pegeeru.

Aż nadszedł dzień, w którym wyprowadziliśmy się spod tych bratnich skrzydeł i nasze kury nie musiały już przysiądać od huku samolotów. Na lotnisku oczywiście nikt naszej nieobecności nie zauważył i funkcjonowało ono nadal.

Dopiero latem 1992 roku dla ruskich lotników skończył się dobry czas. Tu żyli wygodnie w cywilizowanym kraju, a teraz musieli wracać do macierzy, czyli gdzieś do ussuryjskiej tajgi. Byli więc gotowi sprzedać wszystko za kilka dolarów, bo tylko one mogły mieć jakąś wartość w tej dalekiej ojczyźnie. Nikt nie wie, ile broni i sprzętu wtedy przepadło, bo też chyba nikt tego nie liczył.

Wojsko wyjechało, a budynki i obiekty lotniska przypadły w spadku gminie. Ten niechciany spadek popsuł humory miejscowych urzędników i zmusił ich do ruszenia głowami. Ruszyli nimi i coś niecoś wymyślili. Zaoferowali na sprzedaż mieszkalne budynki lotniska za rozsądne ceny. Ludzie je kupili, wyremontowali i problem braku mieszkań w okolicy został rozwiązany.

Gorzej było z hangarami i innymi obiektami technicznymi. Podziemne zbiorniki na benzynę chciał wykorzystać jeden z koncernów branży paliwowej. Przebadał je, stwierdził, że są nieszczelne i zrezygnował. Inne obiekty w większości też nie znalazły gospodarzy.

W naszym byłym domu mieszka teraz ktoś inny, a jego kury wiodą spokojne życie i nie wiedzą, co to znaczy przysiądać ze strachu pod bratnimi skrzydłami TU-104.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Marian, dodano 03.09.2021 17:05

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.